

SPRAWY OTWARTE

WILNO

20
GR.

DWUTYGODNIK • KULTURALNO • SPOŁECZNY •

Nr. 3 (24)

1—15 LUTY 1938 r.

Rok II

MŁODY MARSZ

WILNO BAGIENNE.

Wilno, jeśli chodzi o pewne zagadnienia kulturalne czy narodowościowe — przypomina Biskupin, w którym wszystko przysypała zgodą szerszej opinii — istniało już jako ustabilizowane nakazy, kanony — które można do wierzenia podawać, ale których ruszać nie należy.

Trwało to miasto — jak osada bagienne — pogodzone z losem, rezygnujące z roli — które się jemu należało i z dziejów i z ambicji, którego nikt odkopywać nie chciał, ale które należało odkryć — i z jego skomplikowanymi warunkami narodowościowymi. i z jego nierozbudzoną wolą — do większego, niż dotąd znaczenia — na terenach północno-wschodnich.

Trzeba było się zająć tym północnym Biskupinem: odsłoniłszy i jego prymitywne budownictwo ustrojowe, oparte na niepewnych palach mniejszości, i jego ciasnotę kulturalną, zależną od międzynarodowych komiwojażerów — i na tej historycznej pracy nie poprzestaliśmy.

Bagiennej, pierwotnej, prymitywnej osady — pomijając jej wartości muzealne — mieć tu nie chcieliśmy, zapragnęliśmy kształtować ją bardziej po polsku, szerzej, serdeczniej.

Uważaliśmy, że Wilno — więcej może znaczyć i uczynić — jako Wilno, niż jako Biskupin.

Dlatego prostowaliśmy w szeregu artykułów ślepe uliczki tej osady, dlatego wpuszciliśmy w nie strumień świeżego powietrza i słońca. Gdy jest jaśniej — jest radośniej.

I dlatego zdziwiło nas milczenie i przyjać i wrogów naszych. Powiedzmy szczerze: przyjaciół mieliśmy niewielu, ale wrogów nie zabrakło. Ot, choćby — założyciele, tej bagiennej osady, którą usiłujemy przebudować. A wyraźnie w nich uderzaliśmy raz po raz, artykuł po artykule — im przypisywaliśmy winę bagiennego zaciemnienia prostego zjawiska — polskiego budownictwa.

Oni „kraj“ zakładali, my rozszerzamy Polskę.

Dlaczegoż milczą tedy, czemu nie zaprzeczają — czyżby wyginęli, jak bobry, wraz ze zniszczeniem bagiennej osady?

WODA W USTACH.

Nie — stosują metodę przemilczania. Pocieszają się: poczekamy, jeszcze poczekamy — to się przecież wreszcie uspokoi, wtedy wrócimy na opuszczone stanowiska.

Milczenie naszych wrogów jest wymowne: dobrze i celnie trafiliśmy. Brak odpowiedzi, przemilczanie — ataków zasadniczych, dotyczących spraw najważniejszych — świadczy tylko o słabości stanowisk naszych oniemiałych przeciwników, których atakowaliśmy.

Kośtyse się jeszcze — ta celna włócznia, wbita w żywe ciało — fałszywych prze-

ślanek, mylnych założeń, nieprawidłowych budownictw, które wznoszono tu prymitywnie, oglądając się na wszystkie granice — z wyjątkiem granic ekspansywnej polskości.

Oto ostatni akt — tego bagiennego budownictwa, w którym ugrzęzła i wola twórcza pierwiastka narodowego polskiego i dynamizm wyższej kultury; system naszych wrogów dogorywa: został rozwiązany Białoruski Komitet Narodowy.

A wrogowie, przeciwnicy ideowi milczą, czyżby już nie wierzyli w wznoszoną przez siebie budowę? Zresztą trudno wierzyć — skoro runęła. A o umarłych albo nic, albo dobrze. Wolimy nic, niech milczą.

Dla przeciwników — mamy plac udeptany, dla wrogów milczących, przemilczających — pogardę.

Czekamy aż się tą wodą, którą ze względu na najrozmaitszych — wrogowie nasi do ust nabrali — zaksztuszą. A jest to już woda zielona, rozkładająca się.

MŁODY MARSZ.

Przemilczanie zorganizowane nie przestrasza.

My i tak pójdziemy dalej — zaborczo niosąc ze sobą żelazne pale, polskie pale, żeby je wbijać miast drewnianych, przegniłych — bo nie zakładamy w Wilnie — przydrożnej gospody dla wszystkich, którzy z Zachodu

Młodość ma oddech szeroki, tak — jak szeroki jest krok nasz i mocne serce — bo wierzymy w polskie Wilno i jego polskość — i dlatego źle, że milczą wrogowie — kiedy o polskość tego miasta i ziem tych walczymy.

Przeznaczenie pisze nieubłagane swój sprawiedliwy wyrok.

Pierwszy etap naszej pracy skończony — odsłoniłszy zasypany przesadami północny, bagienno Biskupin.

Usypiające miasto, letargiczne — śniące swój jagielloński sen na beczce z prochem — zaczyna się budzić, odzyskiwać świadomość, znajdować rolę i miejsce swoje — przy rydwanie polskiej kultury.

Jak dobrze, że usypiać — na sen wieczny odwieziono do morgi, obcych — do obcej morgi. Wilno odzyskuje swoje oblicze, staje się znowu Wilnem.

DRUGI ETAP.

I tu się zaczyna drugi etap pracy przy tej nowej, odkopanej polskiej osadzie.

Nie zależy nam na pochwałach — bo bezinteresowność — jest surowym prawem, nie zależy nam na spontanicznych akcesach — do tej nowej, trudniejszej pracy — chcemy tylko, żeby znaczenie tej nowej pracy — skoro Wilno zwoleło się już od duszącej je zmory kosmopolityzmu — zostało pojęte naj-

Chcemy, żeby nasza praca przy oczyszczaniu terenu — przyniosła nam z tego terenu radosne echa:

Słyszmy was, wyczuwamy rytm naszego marszu, podajcie nam krok.

I tu leży nasza nowa rola: musimy podawać krok tej idącej na opuszczone tereny polskiej kultury we wszystkich jej przejawach.

Będziemy ten krok podawać.

Jeśli trzeba — poszerzymy własny, żeby sprostać idącej kulturze; ucieszymy się — jeśli wasz w Dziśnie, Głębokiem, Brasławiu, Postawach, Wilejce, Lidzie — będzie szerszy od naszego.

To będzie dla nas najlepszą nagrodą.

Osadę centralną zbudziliśmy z snu długiego, przysyłajcie własnych witezi, polska kultura rozsyła wici.

Rozpalimy w tej osadzie — wielkie polskie ognisko, i zapalicie od niego szczapy smolne — i poniesiecie do zakątków tej ziemi najdalszych, żeby świecić, żeby mniejsze ogniska rozżęgać na rubieży: niech wie wróg, że w Polsce jest jasno.

Rogu Wernyhory nie będzie, cudu nie będzie — wierzymy w wolę i upór i tego żądać będziemy od przyjaciół.

Czy słyszycie nas — w puszczy hołubickiej? — przysyłajcie witezi.

SZUKAMY PRZYJACIÓŁ.

Stwierdzenie dla siebie: z pewnej podstawy klerkowskiej, platformy walki z grupami drogimi — przejdziemy na szersze pole działania, bardziej bezpośrednie, bardziej ofensywne — bo tego wymaga nasza nowa rola.

Sami tego stosu — w centralnej osadzie nie rozpalimy — liczymy na przyjaciół, czekamy przyjaciół.

Pierwszy etap pracy przebyliśmy samotni: atakowani pogardliwym milczeniem, bez słów zachęty, bez poparcia materialnego, wśród uszczypliwych docinków, wśród sztychów totalitatorskich uśmiechów — liczyliśmy tylko na siebie, na młodość własną i bezkompromisowość.

Nie mieliśmy za sobą historii, przed sobą mieliśmy zamulony nurt polskiego Wilna.

Nurt ten — już dziś oczyszczany, trzeba przedłużyć.

Dlatego czekamy — na serca i na przyjaciół.

Nie chcemy być złuzowani, chcemy być w pracy gromadą.

Osadę centralną budzimy ze snu długiego, przysyłajcie własnych witezi, polska kultura na Kresach — rozsyła wici.

Zapalmy polski stos.



du na Wschód i ze Wschodu na Zachód — ciągną z okrzykami o wyższości obcej kultury, tylko polską gostynę — dla Polaków, tylko kulturalną świetlicę.

dalej, żeby skolei nie zaprzepaszczone — tego nowego celu — w szumnych pogwarkach przy biesiadnym stole — w odległych prowincjach.

Jednolity front na usługach bolszewizmu

(Z notatek sprawozdawcy.)

Drukujemy fragmenty mowy prokuratora Stefana Wolskiego, wygłoszonej w dniu 20. XII. 37 r. na rozprawie publicznej przeciwko Henrykowi Dembińskiemu i innym, oskarżonym o działalność wywrotową. Mowa ta jest aktualna, ponieważ, będąc wyrazem zdecydowanego stanowiska Prokuratury Polskiej wobec zachłannych ataków, skierowanych przeciwko bezpieczeństwu i potęgę Rzeczypospolitej, wywołała, **inspirowaną przez „jednolitofrontowe” źródła** oszczerczą kampanię przeciwko władzom Wymiaru Sprawiedliwości.

...W Polsce w latach ostatnich narasta fala procesów komunistycznych, które odznaczają przedsięwzięciem metody i taktykę komunistycznej akcji wywrotowej, prowadzonej nie tylko w ramach zakonspirowanych jednostek partyjnych, lecz także, a nawet przede wszystkim w orbicie i pod zewnętrzna ochroną organizacji legalnych różnego typu. Procesów tych, niestety, jest bardzo wiele i dlatego tym bardziej winny obudzić one baczną czujność i zwrócić uwagę na te odśrodkowe i w istocie swej destrukcyjne przejawy naszej rzeczywistości społecznej, które pozornie i niejako formalnie do pewnego czasu pozostają w granicach zewnętrznej legalności. Czy te zjawiska socjalne, których fragmenty przedostają się na sale sądowe w ramach owych procesów komunistycznych, są

ZNIENACKA

Stawie walkę

(niezłomnemu wydawcy)

Rytm życia codziennego i wiecznego — stwarza nie co innego, tylko walka: ze światem, ze sobą, z przesadami, z opinią, z trudnościami.

Walka kształtuje człowieka, żeby człowiek mógł kształtować życie.

Stawia się zdobywców, samotnych żeglarzy, odważnych podróżników — a to oznacza: uznajemy ludzi walczących: ze sztormem, z rozpaczą, z własną wolą.

Walka — jest pierwszym obowiązkiem człowieka, jak pierwszym prawem — oddychanie.

Dlatego człowiek walczy ze śmiercią o ostatnie tchnienie.

I to jest najprostsza filozofia: obowiązek walczy o prawo,

Walka, niepokój, szukanie — to istota człowieka, który własne życie uważa za fragment powszechnej walki — w naturze i poza naturą.

Nieobecnym jest w życiu — kto je mija w sleepingu, na stacji początkowej przywołując ku pomocy akuszerów, na stacji końcowej — karawaniarzy

Życie w tych warunkach — jest życiem za szybko.

Kto tej szybkości sam nie rozbije — próżno przywoływać będzie — wszystkich anarchistów świata, z genialnym Czwartkiem — na czele.

Kto nie walczy — ten choruje na spleen, na chandrę i na inne grzechy bezwoli.

I w tej sytuacji można zostać lordem, a nie pożytecznym człowiekiem.

A od arystokratycznego pochodzenia — do arystokratyzmu ducha — daleka droga i poprzez walkę.

*

Walczy się: racją, postawą, uporem, niezłomnością, szyderstwem — zależnie od tego z czym się spotyka w tej walce: z uczciwością czy podstępem, z obojętnością czy przemilczeniem, z ideologią czy konkurencją.

Walka dynamiczna jest bezkompromisowa i do ostatka, do wyczerpania wszystkich źródeł walki.

Walka pożyteczna jeśli wygasa — to nie dlatego, żeby kilku fagasów wierszowe mogło na nekrologu zrobić i żuć dalej niestrawną codzienność i nie dlatego, żeby grabarzom — uczynić uprzejmość; i nie dlatego — żeby karawaniarzy ucieszyć,

A dlatego — żeby zrozumiano jej wartość pod jej nieobecność.

*

Stawie walkę, bo ona jest nurtem i rytmem wszelakiego życia.

WINTYMA.

od siebie oderwane i niezależne, czy też przeciwnie są one jak najściślej powiązane i złączone ze sobą w pewien planowy i z góry opracowany sposób?

Oto pytanie, na które odpowiedź dacie, Panowie Sędziowie, w procesie dzisiejszym.

Ja twierdzę, że to planowe powiązanie pozornie różnych objawów w naszym życiu publicznym istnieje i że jest jakaś ręka obca i wroga, która za wszelką cenę usiłuje zorganizować twórcze i samodzielne siły naszego Narodu, niszcząc wszystko — co mocne i szlachetne, popierając zaś to — co marne i nikczemne.

Mówię to z całym naciskiem. Nie jestem bowiem zdania, by rola Prokuratora polegała na usypianiu czujności Sądu i społeczeństwa, a przeciwnie pragnę tę czujność budzić i obowiązek swój wypełnić, nawet wbrew woli pewnego objawu opinii publicznej, opinii bałamutnej lub nawet tendencyjnej, świadczącej tylko o bezwładzie myśli i braku woli przeciwstawienia się w sposób zdecydowany anarchii i destrukcji, szerzonej przez pewne koła społeczne i przez pewnych ludzi.

Chcąc zaś odpowiedzieć na postawione pytanie i poznać źródła, skąd ten obcy nurt płynie i podważa fundamenty naszego gmachu ojczystego, należy zwrócić uwagę na kompleks zagadnień polityczno-społecznych, tworzących pewną organiczną całość, pewien potężny ruch masowy, którego ośrodki dyspozycyjne leżą poza granicami Polski i pozostają na usługach obcej i odwiecznej dla nas wrogiej potencji.

Tylko w ten sposób będzie można skutecznie wytłumaczyć szereg oderwanych, a mimo to wewnętrznie skończonych, fragmentów i zjawisk, zmierzających w jednym kierunku i podporządkowanych jednej wspólnej kierowniczej woli, woli od nas niezależnej i przeciwko nam skierowanej.

Tylko w ten sposób będzie można skutecznie ocenić zapory i przeszkody, stojące na drodze naszego bytu narodowego i państwowego i zdradziecko hamujące bujny i twórczy pęd sił młodych i nieużytych, rwących się do pracy dla wielkości i potęgi Rzeczypospolitej.

Stać nas bowiem na to, byśmy nasze zagadnienia ustrojowe i społeczne w sposób samodzielny i oryginalnie twórczy rozwiązywali bez pomocy fałszywych i zakonspirowanych doradców, kryjących głęboko istotne intencje i wrogie cele.

Doradcy ci jednak działają i przenikanie wpływów obcych do naszego życia społecznego trwa nieprzerwanie nadal, atak paraliżujący samodzielność myśli polskiej jest ciągle kontynuowany, a wysiłki zmierzające do zawładnięcia opinią życia zbiorowego nie ustają ani na chwilę.

Wysiłki te zaś skoncentrowane są w rękach wrogich i pozostają na usługach czynników obcych, reklamowanych na zewnątrz w postaci i w formie międzynarodowego ruchu proletariackiego, jakkolwiek w istocie są już obecnie przejawem imperialnych interesów jednego tylko Państwa.

I to jest właśnie istotne politycznie w zagadnieniu bolszewizmu, jako jedynej w dziejach ogromnej, o skali międzynarodowej, organizacji spiskowej, będącej przede wszystkim politycznym wykładnikiem jednego mocarstwa.

Przemiany historyczne, związane z rewolucją rosyjską, są wysoce charakterystyczne i pouczające i świadczą o tym, jak w konsekwencji każda doktryna, oparta na mgławicowych koncepcjach, negujących siłę i żywotność pewnych niezaprzeczalnych faktów dziejowych, chcąc utrzymać się przy życiu, musi zrezygnować z tego, co w niej było sztucznego, a oprzeć się o takie lub inne wartości realne. Właśnie z tych przyczyn rewolucyjny komunizm musiał oprzeć się o niestniejące — mimo wszystko — somowiedzę i instynkt narodowy rosyjski, musiał stopniowo znacjonalizować się, przybierając postać i formę już na modłę moskiewską skrojonego bolszewizmu.

Proces ten kształtował się przez lata, ale stale i nieuchronnie. Kiedy komunizm po okresie czasu, który bolszewicy chętnie nazywali okresem heroicznym rewolucji z lat 1917—1921, począł się zwolna stabilizować, proces wschłaniania przez Rosję i rosyjskość nowej formy społeczno-ustrojowej stał się widocznym dla każdego uważnego badacza, doprowadzając w konsekwencji do stanu obecnego, przy którym Międzynarodówka Komunistyczna stała się posłusznym narzędziem rosyjskiej racji stanu.

A są to wnioski i zjawiska o pierwszorzędnej doniosłości, jeżeli chodzi o naszą ocenę zagadnienia akcji komunistycznej na ziemiach Polskich. — W inny bowiem sposób oceniać należy spontaniczne i samorodne ruchy społeczne mas, w inny zaś — ruchy, któ-

rych kierownicze źródła leżą gdzieindziej i są przejawem zaborczej i wrogiej ekspansji.

Zwłaszcza dla Polski ma to doniosłe nad wyraz znaczenie, ponieważ bolszewizm jest nie tylko prądem polityczno-społecznym, dążącym do rozbicia naszej wewnętrznej struktury życia zbiorowego, lecz jest również wyrazem obcej i zaborczej ekspansji terytorialnej, zmierzającej do nowych rozbiorów ziem naszych i wyzyskującej dla swych celów nasze zagadnienia mniejszościowe.

Agresja bolszewizmu przeciwko nam skierowana, winna być zawsze oceniana w ten podwójny sposób.

Stąd też pochodzi swoisty sposób propagandowej akcji komunistycznej na terenie województw wschodnich, schlebającej i popierającej ruchy separatystyczne i tendencje odśrodkowe wśród mniejszości ukraińskich, białoruskiej i litewskiej.

Stąd też płynie żywiołowa nienawiść ośrodków propagandy komunistycznej do krzepających i potężniejących w społeczeństwie polskim prądów narodowych, opartych na zaufaniu w twórczą moc Narodu, jako najlepszą gwarancję naszej wewnętrznej spójności i mocarstwowej przyszłości.

To nienawistne ustosunkowanie się do ideologii narodowej, jako istotnej ostoji w walce z propagandą komunistyczną, dyktuje kierowniczym kołom spisku komunistycznego konieczność szukania sojuszu i montowania jednolitego frontu wśród kół lewicowych o zabarwieniu klasowo-radykalnym w tym przekonaniu, iż ten front jednolity, nawet pomimo woli poszczególnych elementów, wchodzących w jego skład, stanie się w rzeczywistości narzędziem w rękach III Międzynarodówki i zostanie użyty przede wszystkim do rozbicia obozu narodowego, co w następstwie ma umożliwić sforsowanie pozycji i zdobycie władzy przez spisek komunistyczny, doprowadzając do powstania Radzieckiej Republiki Polskiej, pozostającej pod przemożną hegemonią Moskwy.

Analiza metod i taktyki bolszewizmu, istotna treść uchwał i tez programowych kierowniczych organów III Międzynarodówki, praktyczna działalność partii komunistycznej w szeregu krajów potwierdza całkowicie słuszność tego stanowiska. Wszak referaty programowe i na ich podstawie uchwalone tezy VII Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej zupełnie niedwuznacznie o tym wła-

nie mówią i taki właśnie kierunek działalności zakreślają.

A trzeba przyznać, że doświadczenie historyczne uzasadnia taktykę i wskazany uprzednio plan akcji komunistycznej.

Doświadczenie to uczy bowiem, iż zdobycie władzy przez koalicję stronnictw lub ugrupowań o charakterze lewicowo-rewolucyjnym, lub grawitujących do takich właśnie tendencji, jest z reguły etapem przejściowym, po którym do steru rządów dochodzi element krańcowy, stojący narazie w ukryciu i jakby na uboczu.

Czyż doświadczenia wielkiej rewolucji francuskiej nie są pod tym względem znamienne?

Ci, co byli uprzednio na skrajnej lewicy, znaleźli się potem na prawicy Konwencji.

Łatwo było zasłużyć sobie na miano zdrajcy ludu, lub rewolucji.

Żyromyśli nie wytrzymali politycznej konkurencji i musieli ustąpić pod naporem partii „Góry”.

A gdy minęły długie dziesiątki lat i gdy nastał rok 1917, to czyż, mimo ogromnych różnic i zmian, nie zaistniały pewne znamienne i zastanawiające analogie?

Podmuchy rewolucji marcowej rozbużyły siły, które zmanifestowały swą istotną treść w ponure dnię październikowe.

Kiereński, podobny z patetycznego gestu rewolucyjnego do polityka w stylu Gironda'y, ustąpił z placu zwyciężony i unicestwiony politycznie.

A przecież to były doświadczenia tak niedawne i dla bolszewików tak bliskie.

W świetle tych doświadczeń jednolito-frontowa taktyka komunistyczna staje się w pełni zrozumiałą, a hasło: „nie ma wroga na lewicy” „świadczy dobitnie o tym, iż bolszewicy konkurencji lewicowo-socjalistycznej wcale się nie obawiają.

— W ocenie tych faktów należy dojść do wniosku, iż dla propagandy i akcji komunistycznej w Polsce istnieje jedyna, ale za to potężna zaporą i zwycięska przeciwwaga w postaci ideowo zwartych szeregów, skupiających wszystkich Polaków, chcących ofiarne pracować dla wielkości swej Ojczyzny.

— Wywrotowcy różnych odcieni pojmują doskonale, iż obóz ten to gwarancja potęgi Rzeczypospolitej, a jednocześnie zagłada komunizmu i wszelkiej negacji...

DALEJ OD BANDY

Miłym współtowarzyszkom z dn. 16. I. r. b.

Zaczęło się od tego, że trzy Gracje z wrodzoną kobietom arbitralnością postanowiły iść pieszo na Pośpieszkę Kiedy któryś z tępszych chłopaków stwierdził nierozważnie, że tego rodzaju zamiar spowoduje spóźnienie na zawody — został natychmiast zmiażdżony potężnymi argumentami o szybkości nóg kobiecych i ich wytrzymałości, o winie chłopców, na których trzeba było długo czekać i t. p.

Ruszone i z żelazną konsekwencją domaszerowano do Komendy Placu, gdzie z wielkim pozornie oporem i niechęcią dały się niewiasty zapakować do auta. Dwóch niekonsekwentnych pomaszerowało dalej, gawędząc o różnicach stylu Iso-Hollo, Kusociniego i Noji, o słicznej grze v. Czamura i Henkla, skokach Marusarza i t. p. Kiedy ci dwaj znaleźli się na torze — konkurs hipiczny już był w pełni. Ponieważ nieodzowny totalizator tym razem był nieczynny, podobnie jak i bomba przy budce sędziowskiej — organizatorzy uznali za rzecz zbędną wydrukowanie jakichkolwiek programów. Niechaj przecie ludzie zabawią się w gadywanego.

Właśnie szła rozgrywka 3 jeźdźców o drugie miejsce, przyczem miał tu decydować czas i dlatego pierwszy jechał najszybciej, drugi już wolniej, a trzeci zupełnie wolno: wygrał... ten trzeci. Wartoby pomyśleć o jakichś zmianach w regulaminie rozrywkowym, gdyż dotąd jeźdźcy początkowi są zbyt handikapowani w stosunku do numerów końcowych.

Następny punkt programu przyniósł sporo śmiechu, gdyż startowały narciarki za końmi W pierwszym biegu każda z 3 zawodniczek, okazywała widoczną predylekcję do tarzanla się w śniegu i zdecydowaną niechęć do mijania mety ku czemu znowu zażarcie dążyli posiadający koni 3 podoficerowie ze szwadronu pionierów. W wyniku tej dekompozycji (widać, że narciarki znają modę nie tylko kobiecą, ale i polityczną) po dłuższych wysił-

kach złapałszy obcego konia piękna studentka w chustce „à la Marusia” (było to podobno modne na plażach francuskich w r. 1937) dobiegła wreszcie do mety. Przedbieg II pokazał, że upadek w ostatniej chwili nigdy kobiecie nie zaszkodzi, bo można metę minąć nie tylko na nogach — byle nie wypuścić linki.

Goniłwy oficerskie wykazały już inną klasę tak jeźdźców, jak koni, że wymienię zdecydowane zwycięstwo w przedbiegu drugim i piękny styl akcji na prosty w przedbiegu trzecim. O ile u niektórych najmłodszych oficerów dało się zauważyć wadliwe używanie bata stosowanego dziwnie nieumiejętnie i w momentach najmniej odpowiednich — o tyle podoficerowie, dosiadający koni w biegu dla uczniów poza nielicznymi wyjątkami wykazali zdecydowany brak wszelkiej formy. Uwidoczniło się to w kompletnym wyczerpaniu na finiszu, beznamiętnym machaniu batem i automatycznym żganiu ostrogą w momencie równoczesnego ściągania wodzów. Odosobnionym na szczęście okazał się wypadek ordynarnego odpychania przeciwnika pięścią i ciężkim słowem. Przypuszczać należy, że niemiły ten incydent rozegrany na oczach D-cy Brygady został należyście ukarany.

Nadprogramowo, zdaje się, zasłużony w niejednym Militar i zwycięski w licznych konkursach Talar wystąpił w nowej dla siebie roli lidera narciarskiego i obojętnym galopem okrążył tor, ciągnąc swego stałego jeźdźcę znanego z wyścigów rtm. Bohdanowicza.

Publiczność zachowywała się raczej sennie z wyjątkiem 2 łóz „które grały w gadanego tota”, mierzyły czas przedbiegów i dyskutowały nad ciekawym zagadnieniem: czy przy goniłwach z narciarzami lepiej jest trzymać się bandy, czy też jechać poleni? Rozstrzygnięcie znajdzie się w tytule

JÓZEF GIL.

JANUSZ TEODOR DYBOWSKI.

W regionie Jury Chreczkoluka

(FRAGMENT Z WIĘKSZEJ PRACY.)

Powietrze rozgrzane gorącym lipcowego południa i rozebrane muzyką świerszczy, idzie do głowy jak wino. Natura jest jakaś niepoohamowana w górach, jakaś szczerą i bujna, jakaś z bożej łaski. Jak zagrzeje, to choć koszulę zdziewaj. Biała łata śniegu na czarno siwym szczycie Czarnohory jest codziennie mniejsza. Nęci i ludzi ta górską łata morgana obietnicą, kuszącą chłodem, Czarnohora jest tak blisko, że zdaje się rękę prawie można wyciągnąć i dotknąć nią śniegu. To tak przybliża przezroczyście wysokogórskie powietrze.

Na schodach schludnej huculskiej grażdy w zgrzebnej koszuli i portkach siedzi stary did Iwan Chreczkoluk. Oczy ma prawie zamknięte, drzemie w pełnym słońcu. Obok niego przysiadł się stary kot, ulubieniec dida, drzemie razem ze swym panem z podwinętymi pod siebie łapami, pomrukuje z zadowolenia. Ciężki oddech starca, świadczący o rozedmie płuc, na którą umierają zwykle Huculi w podeszłym wieku, traci teraz ostry, niepokojący rezonans i zlewa się z sytym pomrukiem kota i muzyką świerszczy w jedną harmonijną melodię gór.

Piękny dzień, didu — mówię do Hucula. Martwa poorana brudami, brązowa twarz starca, przypominająca misterną rzeźbę widzianą gdzieś w muzeum czy w huculskiej przydrożnej kapliczce, ożywia się. Podnoszą się opuszczone powieki i dziwnie szybko, przenikliwie patrzą czarne oczy.

Treba dziakować Bohu za usio szo dał, pane — mówi do mnie Iwan piękną gwarą ruską. Ten człowiek, noszący w sobie nieuleczalną chorobę, którą dały mu rodzinne góry, ten człowiek tak dojrzały do śmierci, zawstydzony. Trzeba było wyjechać aż tutaj, aby usłyszeć z ust tego prymitywnego człowieka słowa, będące solą życia, słowa, których Bóg nie daje nikomu za darmo, które trzeba okupić męką życia, a nieraz dojść do nich przez ogień buntu, poprzez spalanie się, poprzez spopielenie naszych chciwych chęci, aby zrozumieć tę wieczystą mądrość słów błogosławionych, słów przymierza stworzenia ze Stwórcą, słów, okupionych męką Chrystusa w ogróju, tych słów, co są same furta do raj, słów — bądź wola Twoja...

Trudno jest rozmawiać z gazdą Iwanem Chreczkolukiem, człowiekiem, który już prawie przestał należeć do tego świata, wyzwolił się już z życia, wypadł z kolejnych jego spraw, to też z niemałym trudem szukam w myślach tematu, który by jeszcze nie zatracił związku z poza ziemską sferą zainteresowań tego starca. Znajduję wreszcie.

— Macie, gazdo, syna?

Stary budzi się zupełnie. Zbiera do kupy zniedołężniałe członki, wstaje. Wyrasta przede mną wspaniała jeszcze w krasie ostatnich blasków późnej jesieni życia postać dida Chreczkoluka. Starzec patrzy na mnie wzrokiem, w którym palą się dziwne błyski, wzrokiem, który przeszywa mnie na wylot. Jestem zmieszany, z trudem wytrzymuje to spojrzenie. Starzec, nic nie mówiąc, idzie do izby. Postępuję za nim, wyczuwając instynktownie, że powinienem pójść. Kot też się przebudził i drepce za nami. We trzech wchodzimy do wnętrza huculskiej chaty. Witają nas martwe twarze świętych z obrazów, wiszących kołem na ścianach, takie same, jak gdzieś w wiejskiej izbie w Wielkopolsce czy na Kujawach, niekiedy tylko bardziej może brodate. Króluje wśród nich święty Nikoła — patron wierzchowin. Iwan podchodzi do jednej ze ścian, zdejmując z niej i podaje mi małą wyblakłą fotografię. Ledwie można dostrzec z pod pękniętego szkła czapkę i mundur legionisty i zarysy młodej męskiej twarzy.

— To Jura, syn, poszedł w legiony, zabili... szepcze stary Iwan Chreczkoluk. — Ochotnik — dodaje z dumą — gdy on żył, oho, to był by gazda, zabili... mamrzącą starcze usta. O Huculach mówiono mi wiele

i mówiono źle. Widziałem Huculów przy pracy codziennej i przy codziennej modlitwie. Widywałem ich na odpustach i na zabawach. Byłem kiedyś nawet na dożynkach u bogatego Hucula. Imponował mi ten lud dorodny, barwny, piękny jak ich ojczyście góry, śmiały i dumny, odważny i przedsiębiorczy. Stwarzałem sobie legendę o tym ludzie, żyjącym bliżej Boga w wysokich górach, legendę, którą później usiłowały rozwiać opinie miarodajne biegłych w sprawie zdawna, od lat na Huculszczyźnie zasiedlonych, zaprzysiężonych znawców miejscowych stosunków.

Zacząłem się od tego, że zwróciłem uwagę na warunki gospodarcze, w jakich żyją Huculi, stwierdzając, że są one bardzo dodatnie i przeciętny Hucul powinien szybko dojść do zamożności. Bo proszę: dla przypadkowego przybysza puste i jałowe, trudno dostępne góry są dla ich właścicieli źródłem bogactwa. Na niżej położonych przestrzeniach uprawia się rolnictwo, wyżej rozciąga się pas łąk, które stanowią podstawę hodowli inwentarza, jeszcze wyżej wspaniałe lasy i połonina — wysokogórskie łąki, gdzie wypasa się owce. Stopień zamożności Hucula mierzy się ilością owiec i przestrzenią połonin. Ale pracy wogóle na Huculszczyźnie nie braknie. Ziemia to obiecana dla rąk, co się jej nie boją, dla kiermanyczów harnych, spławiających darabę po wartkich wodach Czeremoszów, dla sykmanyczów — drwali, trzebiących świerkową puszcę prawieczną, rozsiadłą na stokach rozczółowy, dla bartników, troskliwie pszczoł doglądających, dla puszkarów - strzelców śmiałych, dla łęgniów**), zwożących końmi drzewo ścięte na górskich porębach.

I dziwić to poczyna, gdy zajdej-przybysz widzi tu wszędzie pełne ręce pracy i to naogół dobrze wynagrodzonej, bo Hucul nie jest wyzyskiwany i wyzyskać się nie da, że niewielu spotyka się zamożnych ludzi gór.

I tu rzucano oskarżenie pod adresem Huculów, że nie chcą oni i nie potrafią ciułać grosza.

Gdy poczuje łęgin nieco horoszy przy duszy, zaraz mu zapachnie horylka, zaraz go nęci kraśny uśmiech młodyci, zaraz strzyże uchem, skąd dochodzi skoczny dźwięk szalonej kołomyjki i już go nie ma. Rzuca robotę i hajda — hulaj dusza. Zżymają się więc na Huculów ludzie wyliczeni, przemysłni i oszczędni, ludzie nie znający człowieka gór, ani ich szerokiego, gorącego oddechu, ani ich szalonego, niesamowitego piękna, ani ich wspaniałej szczodrości, ich nienasyconego wartkiego rytmu, od którego krew w żyłach szybciej krąży, a życie pięknieje i nęci. Jest to swoista pokusa gór, która sprawia, że kto raz w nie zabłąkał, powraca, że kto się z górami zbrałał, ten zawarł ślub na niezapomniane.

Tak więc zaczarowała mnie legenda gór.

Narodziła się ona z tęsknych pogwizdów trombity, z warkotu ropędzonego nurtu Czeremoka z hukiem, z szumem, z łoskotem pędzącego poprzez swą skałami najeżoną kołębę-łożysko, niczem gazda-watah, zjeżdżający w orszaku łęgniów - strumieni na tajemne gody w górską noc, najcudowniejszą z nocy, otuloną w weselną biel negury — mgieł, co zeszyły z wyniosłych wierzchów, o-

*) góry, pocięte pasmami lasów;

**) młodzi Huculi.

świeconą i srebrną poświatą księżycą, co ubiera góry w uroczyste, mistyczne szaty zakłętego piękna. Narodziła się ta legenda gór z pobrząku owczych dzwonek dalekiej połoniny, z uśmiechem czarnych oczu małej Mariki pastuszki, wygrywającej na fujarce dolę swoją sierocą i uśmiech dobrotliwego gazdy — słońca i zapach upajający kwieciami i zadumę słoneczną wielolistych romansów-złocieni i szczodrości tego, co stworzył kraj ten i położył go wysoko, bliżej wrót gazdostwa Swego.

Wełykij — gazda — Bóg utrudził się bardzo, stwarzając ten kraj wierzchowin — Huculszczyznę, bo chciał, aby tam wszystko piękne było i stwarzał go z dobrotliwą miłością wielką na wierny obraz i podobieństwo Swej chwały i wyszło to dzieło Boże wspaniałe i gazdujący nim człowiek, król stworzenia wyrósł sam jak smerek śmigły, jak Beskid rozłożysty, jak dziewięciosił wzrosły krzepko dalekoręcznymi korzeniami w upłaz połoniny, we wspaniałe przykrasy — ozdoby i dał mu wełykij gazda Stworzyciel duszę w pięknie nade wszystko się kochającą, duszę artysty wrażliwą, niespokojną, nieulekłą, i niezależną, obok piękną siostrę jego rodzoną, swobodę miłującą.

Cóż się tu dziwić że gdy zagrały surmy wojenne 1914 r., gdy porwała się w Krakowie garść szaleńców, aby walczyć za wolność „naszą i waszą”, gdy karpacka żelazna brygada poczęła się krwawić pod Rafajłową i Parutyńską przełęczą, dziś Legionów zwaną, nie wytrzymał w ojcowej grażdzie łęgin ognisty i poszedł z dziwnym wojskiem, co je pańskim nazywali, a gdzie wszyscy za braci się pospołu uważali. Dziś ten region rozrasta się bujnie, kwitnie. Region Jury Chreczkoluka, za cenę jego krwi odzyskany, jegoc to tedy jest i niczyj inny, bo on tu w tych górach swe młode życie położył, on z macierzą — polską krwią zaklęty i ślub zawarł na przyszłość całą, na dobre i na złe.

Opiekuje się więc Polska regionem Jury Chreczkoluka, uchroni od spekulacji i nieuczciwego wyzysku Żyda przedsiębiorcy lub kierona, co gazduje po porębach w kołybie drwali, zakłada szkoły, szpitale, kursy warzenia bundru i bryndzy. Ruchliwe Towarzystwo Przyjaciół Huculszczyzny zapisuje w historii kraju wierzchowin piękne i niezatarte karty. Obecnie dobiegają końca roboty około wzniesienia gmachu muzeum huculskiego w Żabim.

Z szosy wiodącej z Żabiego do Worochty widać już okazałe mury przyszłej świątyni przepięknej, jedynej w świecie huculskiej sztuki. Nie będzie to muzeum skamienia, muzeum rzeczy martwych lecz sztuki żywej, płodnej, stale się rodzącej, jakaś Alma Mater, huculska ziemia — matka, poruwająca jej piękna góry.

Trakt z Worochty do Żabiego, to jedna z najpiękniejszych automobilowych tras turystycznych w Polsce. Wiozący mnie młody szofer opisuje się kawalerską jazdą, ocierając się prawie o grzbiety potężnych bali świerkowych, które wiozą Huculi do Worochty. Binokle moje wydają widocznie jakiś niepokojący, urzędowy błysk, który pewnie przypomina srogiego „rewizora” stojącym co kilka kilometrów dozorcą drogowym, bo salutują mi pokolei w służbowej postawie. Rewizor jednak istotnie by się tu przydał, bo tuż pod Worochtą droga jest zupełnie ze-

psuta, deszcze zrobiły obszerną wyrwę, nanieśioną błotem, a choć kilka miesięcy temu rozpisano się prasa o zepsutej szosie pod Worochtą, którą w żywe kamienie klnie turysta, jednak bezskutecznie. Po co rozstawiać co kilka kilometrów beczynne manekiny, które honorują turystę ukłonem, kiedy kilku z tych statystów drogowych w parę dni naprawiłoby wyrwę przy moście pod Worochtą.

Głucho dudni auto po licznych mostach i mostkach przydrożnych w tym kraju tyśiąca strumieni. Odgłosem tym żegnają się góry. W Worochcie już cywilizacja, już dancin, już kolej, już spekulacja.

Z tęsknotą za tym krajem słońca, błękitu i upajającej aury, powróciłem do Poznania. W bezbarwny, szary dzień uśmiechnęła się do mnie z wityny księgarni Św. Wojciecha barwna okładka książki. Motyw jakiś majowy, bliski. Nie zmyliła mnie pamięć. Wyrazny napis „Huculszczyzna” F. A. Ossendowskiego. Pokusa była silna. Wspomnienia odżyły. Wziąłem książkę do ręki. Z otwarciem pierwszej strony wionęło na mnie zaraz powietrze gór. Porozumiewawczo mrugnęła żółta tarcza złocistego romana, kwiatu południa i przemówiła prześniona baśń, zaduma wierzchów gorgańskich z pięknej fotografii.

Zagłębiłem się z zaciekawieniem w treść książki, chciwie pochłaniając wspaniałe ilustrowane stronic. Co za styl cudowny, co za barwa, co za rozmach... Ossendowski jest w „Huculszczyźnie” wielkim artystą, który wizję plastyczną potrafi narzucić z siłą i dynamiką. Tak więc, dzięki Ossendowskiemu, przeżywałem Huculszczyznę po raz drugi. Po raz drugi widziałem starych moich znajomych: sędziwego dida Iwana i Marikę — sierotę i zwinnego jak wiewiórka durnego Pyłypa, znoszącego mi pachnące poziomki z kwietnej kujawy, i zamasyzłego Nikoła Wasyluka — legionistę, co mi opowiadał jak to było pod Rafajłową, tego Nikoła, który piekła wielkiego narobił, targnąwszy się na święty magistrat władzy, turbując srodze kilku policjantów, co u niego, starego legionisty, broni ukrytej przyszli szukać.

Najpiękniejsza to książka ta „Huculszczyzna” Ossendowskiego, jaką kiedykolwiek czytałem. Wydana tak wspaniale, tak bogato, z taką troską o harmonię treści i formy, że nie wiadomo, co pierwej podziwiać — czy układ graficzny kilkuset (!) ilustracji z trafnie dobranym tekstem pod każdą z nich, czy treść, oprawioną w tak kunsztowną formę, wypowiedzianą tak barwnym językiem, że przysporzyć może entuzjastów tego regionu nawet pośród tych, co nigdy krajin wierzchowin nie widzieli.

Klasyczne piękno języka sprawia, że tę dwustu kilkudziesięciu stronicową książkę można by recytować, jak jakiś bohaterski poemat.

Zaiste, Ossendowski stworzył epos bohaterski Huculszczyzny, utrwalił ją w mowie naszej, w kulturze, i w sercach kochających ojczyznę. Książka ta wyszła jako X tom cyklu „Cuda Polski” „Wydawnictwa Polskiego” Węgnera w Poznaniu. Wydawnictwo to tym jednym cyklem choćby tylko zapisało sobie trwałą pozycję społeczną i narodowej zasługi.

Dzięki niemu, każdy z nas może w czterech ścianach własnego domu przeżyć całą gamę podniosłych estetycznych wzruszeń, przeżyć może piękno i wielkość odrodzonej ojczyzny.

Dzięki nim, możemy dziś przeżyć Polskę po raz drugi i pokochać ją taką, jaką jest — żywą, piękną i stale się odradzającą, pokochać jej wielkość i jej nędzę, aby móc powtórzyć w pokornym uniesieniu słowa starego Iwana Chreczkoluka z Hrabowca-Żabiego, człowieka, który wiele widział i wiele przeżył: „treba dziakować Bohu za usio szo dał...”

A w Swej szczodrości dał nam wiele i jest za co dziękować...

JEDYNA W WILNIE
SPECJALNA

PIWNICA WIN

W I N A

wystawę węgierskie
francuskie

podlega importowane wprost
z Winnic własnej rozlewni

od zł. 3,50 but.
„ „ 4,25 „

HURT DETAL

oraz zaprasza do swojej

REPREZENTACYJNEJ PROBIERNI

na lampkę węgryzna
lub miodu

PODZIEMIA DOMU Nr. 11 UL. MICKIEWICZA.

(Koło Importerów Ziem Wschodnich).

WIKTOR TROŚCIANKO.

Cień na przekątnej

(nowela)

(DOKONCZENIE.)

Spóźnieni kuglarze, epigoni wieku zwyrodnienia żonglują naprzemian „problemem” zgodniałych mas i nagim ciałem kobiety — wszystko pod afiszem wizji niezakłamanego świata. O, biedni, biedni szamani dekadentyzmu spóźnionego, gangsterzy bezbronnnych umysłów: analfabetów, wykluwających się młodzieńców, którym świat przesłoniła zaciśnięta pięść.

Adam rozumiał, że jego funkcja była czynnością zwrotniczą: nastawieniem w porę odpowiedniego „odcinka” toru — pociąg musi przejechać mimo trzęsawiska. Przesuwały się teraz, jeden za drugim, niedomyślane fragmenty nowej drogi, łączone z trudem w ciągu lat kilku, rozsypywały się znów w początkowe stadja niepowiązanych punktów. Przed oknem wyrastało nagle sitowite rąk wyciągniętych ku Adamowi, pozdrawiających jego, mknącą po nocy, myśl; potem znów kominy fabryk sterczały, jak nierozwarte pięści.

— Pochylić się! Pochylić! — chciał ku nim krzyknąć zdaleka.

Usłyszał grzmot pięści bijących w piersi — „Boże, bądź miłościwi!” — to pociąg Adama przejechał most.

— Boże, bądź miłościwi — powtórzył mechanicznie.

Zdawał sobie sprawę z automatyzmu, który u niego zawsze się zjawiał ze słowem Bóg. We wszystkim innym tak wykształcony, wymagający i krytyczny, tu był prymitywem, trzymanym wspomnieniem dziecięcych modlitw, powiewem srebrnych matczyńskich słów. Pamiętał wieczory pierwszej nauki pacierza: w zimnej chacie, wygnancy wojny, — matka zmęczona dniem trzymała sennego Adasia. Kiedyś pierwszy raz przez ciemną izbę, w kierunku małego okna i migających z nim gwiazd, wyszło adasiowe „Ojczenasz”.

— Nie Ojczenasz, Adasiu, tylko Ojcie Nasz — poprawiała matka. Adaś wąpił, zegnając się, czy Panu Bogu wystarczy ten prędko znak na przebłaganie najszybszej, nikomu nieznannej tajemnicy jego grzechu — urwania zielonego grochu pod lasem; uspakajał się, gdy matka nad głową leżącego chłopca kreśliła znak krzyża.

Dorosły Adam rozumiał, że nie wystarczają w tej sprawie więzy sentymentu, wiedział, że może go w dyskusji powalić byle szperacz i kolekcjoner argumentów w rodzaju „Joanny Papieżycy”. Na uboczu została cała konstrukcja filozofii katolickiej, urosłej w ciągu wieków pracą Ojców Kościoła, pisarzy. Pochłonięty walką z wyczuwanym wrogiem, oddawna przecinał jego drogi — prowadzone drogowiskiem — kabałą marksistowskich systemów wyzysku, ekwilibrystyką Kautsky'ch, Engelsów. Zmęczoną głowę kładł między wiersze Bayrona, Słowackiego, pił lirykę nowodokrywanych źródeł. A Bóg czekał. Wyrastał nad szachownicą krajobrazu nagle wzniesieniem Everestu, stawał naprzeciwko tłumowi, w którym szedł Adam. Szczyt ginął w fali obłoków. Ten i ów nawoływał do wspinaczki, większość omijała górę — szła brzegiem zbocza.

Wędrowcowi mogło się wtedy zdawać, że wystarczy ułożyć się na wodzie, by lekko płynąć w szmaragdowe morza. Z oceanów rosną obłoki — w tak łatwy sposób można osiągnąć wysokość najwyższego szczytu. Myślał przytem:

— Może to lepiej, że Bóg skrył się za chmurą przestrzeni, czasu i ogromu Swych dzieł... Na pewnej wysokości występuje nieubłagana siła grawitacji w dół. I to jest nasza samodzielność w sprawie Boga — kończył myśl.

Ale i rzeka niesie niełatwo! Czasem zawoła ktoś szpatmatycznie o ratunek, jak wtedy. Wtedy:

październik szedł po ogrodzie szpitalnym, wiatr zrywał resztki włosów, gwiżdząc marche funebre — sunęła tyśa jesień. Marsz żałobny pchał się szczelinami okna, wyprzedzał niedaleką granicę ostatniego oddechu. Oddech się skończył i noc się skończyła — u okna zawiśł brudny dzień... Adam płakał z żalu, że godziny przeszły obok niego i musiał pozostać z tej strony granicy, gdy tak łatwo przechodzi się na drugą — lepszą, bo znaczną zastępnym uśmiechem zmarłej.

Pociąg wjeżdżał na stację węzłową, na której trzeba było czekać parę godzin przed następną częścią podróży.

W przedziale nagle zabłyśło światło. Nieznajoma porządkowała swe rzeczy; Adam spojrzął w jej stronę. Zawstydił się trochę, przypomniałszy sobie jako gburę przy nawiązywaniu rozmowy. Wstał z trudem, opierając się na dwóch laskach.

— Pan chory?

Złość powróciła. — Tak! Chciała pani spytać: kaleka? Owszem — gruźlica kości. Chciałem zakończyć naszą poprzednią rozmowę.

— Słucham?... —

Gdy światło księżycy padło na panią, wiedziałem, że idzie pani przez życie w w tempie walca. Jest pani lekko i różowo.

— A ja widzę, że pan nie wymienił jeszcze jednego zawodu, mówiąc o sobie... że jest pan psychologiem — i to bardzo młodym. Zresztą — rzekła po chwili — pan widział tylko swoje gwiazdy i dlatego taki błąd w diagnozie. Ja, proszę pana, przez życie chodzę w tym samym rytmie i z taką szybkością, jak pan obecnie — tylko, że pan od niedawna, a ja już dawno, bardzo dawno. Farbka na ustach i przedłużone brwi — zwiody pana. Nie to jest istotą ruchu, młody towarzyszu tempa! Tak, jak nie jest istotą ruchu auto, a wartością człowieka — wygodny pokój, lub grzejnik elektryczny.

Byłam niemile zdziwiona pańskim zachowaniem na początku podróży, bo myślałam, że można będzie usłyszeć młody głos, mówiący o młodych sprawach. Ja tak rzadko o tem mówię! A pan? Pan sobie zbyt łatwo uprościł sytuację. Zgoda na niezapalenie światła... no, no! Panie — mężczyzno! Sądzić wartość kobiety według własnych oczekiwań — jak dzieci mierzą swych kolegów na ilość cukierków, lub marek pocztowych. Zresztą — dodała — nie mam do pana żalu, wiedziałam, że tam, za oknem — była naprawdę niezwykła noc. Dowiedzenia!

Adam zrewidował swe wrażenie. No — tak — przyglądała mi się, taksując stopień „wariactwa”, obraziła się z przecięcia rozmowy, pytania były „wampiryczne” — a tu masz tobie!

Po paru godzinach przerwy chęć znów siedział w przedziale, tym razem zupełnie sam. Noc rzuciła jeszcze ostatnie sznury pereł na drzewa.

— To już chyba ostatnie spojrzenie na mojej drodze — myślał. Wszystko zastępnym we wspomnieniu. Tak samo zastępnym problemy; wzniesione na pożegnanie dłonie robotników zostaną na zawsze w tej pozycji — jakby miały wskazywać tylko na lirykę gwiazd.

— A przecież one się schylą do pracy, pochwyć łopaty, pióra, młoty — tylko ja... „Połóż pan kilka lat” — powiedział w przystępie szczerości jego lekarz. Kilka lat! Przecież trzeba się przy tem zaciąć, zakrzutować! Zostawić wszystko na kilka lat — zniechęcić jako część skalistego zbocza.

Czy potem wróci do walki, rzuci w tłum ogień swego zapалу, wyświeśli przed stęsknionymi oczami niesfałszowany i prawdopodobny film? Kto mu uwierzy? Tam trzeba silnych ramion i zdrowych oczu, jak ich oczy i ramiona spragnione są silnego, zdrowego życia.

A może — może nowy kataklizm przepłynie w swym tyglu dzisiejszą „hierację potrzeb” na coś zupełnie innego? Ale przecież pewne rzeczy zostaną...

Znowu przejeżdżał obok jakiegoś miasteczka, lśniły krzyże. — Jak one się powtarzają! — Gwałtownym ruchem zdjął rękę z metalowego okucia stolika, zdawało mu się, że trzyma gromnicę w stygnących palcach. — Wpadłem w porządną histerię — mruknął do siebie. — Wsparty na laskach, wyszedł na korytarz. O kilka przedziałów dalej było ludno i gwarno. Zatrzymało go jakieś zamieszanie, na korytarz wybiegła spocona kobieta, wzywając doktora.

— Doktor! Może tu jest doktor?!

Nikt się nie odzywał. Otwierała kolejno drzwi przedziałów, rzuciła swoje: „doktor” i biegła dalej. Niektórzy podróżni, zaskoczeni pytaniem i hałasem, wychodzili na korytarz, inni spali dalej, okreceni płaszcami.

Żadnego doktora w wagonie nie było, a konduktor radził wysiąść na najbliższej stacji i pójść piechotą do najbliższego miasteczka, (pięć kilometrów) gdzie mieszka jego znajomy (bardzo dobry) felczer.

— Aleś pan doradził — toć dziecko zemrze! — pokazała ręką na przedział.

Adam poszedł za konduktorem i stanął przy drzwiach, gdzie zebrało się już sporo osób. Jedni radzili:

— Przyłóżcie zimny okład — może odejdzie...

— Rozwińcie z kołderki...

Głosy łamały się w połowie zdania, każdy widział, że rady nic tu nie pomogą.

Adam zajął do przedziału. Byli to ci sami podróżni, których zauważył na jakiejś stacyi z dzieckiem bladym, jak połysk szyn.

Usteczka starczym grymasem opadły ku dołowi, oddech był ciężki, nierówny, pod czepek skłity się krople potu.

Adam stał przy drzwiach wpatrzony, czatujący. Któryż to raz podczas podróży nałatywała go zagadka we wspomnieniach, w wizji własnej przyszłości?!

Jest naprzeciwko. Zdaje mu się, że będzie widzialna — skąd przyjdzie? Stał ukryty za firanką, oparty ręką o drzwi, spojrzął na zegarek: wskazywał godzinę 2.16. Przeszła chwila — dziecko westchnęło po raz ostatni, znów spojrzął na zegarek — 2.18... — Więc tak!

Znalazł ją wreszcie, poznał, wiedział skąd przysłała. Jest zupełnie rzeczywista i kroczy po tarczy znaczonej cyframi, lśnią polyskiem — wskazówek zegarka. Droga jej — to kabalistyczny krąg.

Śmierć niema początku, tak, jak koło, — każdy z tych tu — umiera. Śmierć jednych trwa dłużej, innych krócej, poprostu różnica w obrotach wskazówek. Bronimy się tylko kredowym kołem złudzeń

— Nie chcę być Faustem! Choćbym swój zegarek zatrzymał, tysiące innych wskazuje czas prawidłowy!

Jak to słońce, które właśnie otrząsa się z rannej mgły.

Logika niezwykłych zdarzeń, ogarniających świat przydrożny, odpowiedziała Adamowi, że trzeba wracać. Bo cóż za sens ma ta ucieczka? Zatrzymać na kilka miesięcy, czy kilka lat zjawiska dzisiejszej nocy. Cierpienia przyjdą wcześniej, czy później. Bał się tylko samobójstwa, wierzył głęboko w życie za granicą zegarowego kręgu zrozumiał, że tam panować muszą inne kryteria porządku. A tu był częścią organizmu, którego mechanikę zdemaskował dziś. Stał się teraz jakgdyby współmotorem.

— A więc — wróć! Połóż przed sobą zegarek, żeby ostatecznie się przekonać, że to nic innego, tylko któryś z rzędu ruch wskazówki.

Teraz jednak w umyśle chorego nastąpiło coś w rodzaju zderzenia dwóch myśli: raz zdawało mu się, że dalsza podróż, kilkuletnie leżenie — wegetacja, to właśnie ucieczka, oszukiwanie odkrytego mechanizmu, to znowu, że powrót do miasta i świadome poddanie się działaniu choroby, zasługuje bardziej na nazwę ucieczki.

W tej walce o definicję nastąpiła druga, całodzienna przerwa podróży. Adam czuł się zupełnie rozbity, postanowił więc, przed ostateczną decyzją, odpocząć w ulubionym mieście.

Dzwoniły hejnały na wieżach, miasto grało jedną z części swej symfonii — allegro pracowitego poranku. Adam był tu często. Lubił zastępnym w gotyku patos średniowiecza, spokój muzeów, — wieczorem — półmrok samotnych kościołów. Obejrzy to wszystko jeszcze raz: fenickie szkło, wyrafinowaną rzeźbę egipską, pracę przepisywaczy — mnichów, harmonię łuków architektonicznych, łączących się w Punkcie Najwyższym.

Zachodzące słońce rozpoczęło sierpniowe andante, dzwony biły przeciągle, dłużej, dźwięki toczyły się w formę szmeru, spokój usypiania.

Do pociągu znów zajął wczorajszy księżyc. Dziś już się nic nie działo — wszystko odbyło się wczoraj. Adam uciekał dalej. Siedział w towarzystwie paru żydowskich adwokatów, kłócących się w biurowej polszczyźnie o interpretację i skutki jednego z artykułów Kodeksu Postępowania Karnego.

— Moje stanowisko jest bardziej życiowe — upierał się jeden.

— Wymienione stanowisko, panie kolego, właśnie przeczy życiu!

— Życie!

Pociąg przystanął. Adam wyszedł z przedziału.

— Czekoladki, pomarańcze, lemoniada! — dał się chłopak bufetowy.

— Chłopcze, hallo! Zawołaj numerowego!

— Zanieś do dorożki? — spytał człowiek z blaszanym numerem na czapce.

— Nie, tylko do dworca. O której jest pociąg z powrotem?

— Za cztery godziny — o siódmej rano. Pan szanowny będzie czekał na dworcu?

— Tak. A jaka to stacja?

Numerowy wymienił nazwę. Adam podniósł głowę?

— Co?

— No tak, niech pan spojrzysz na napis. A co? Pan nieprawidłowo wysiadł, za wcześnie?

— Prawidłowo.

Spojrzał przed siebie. Na niebie łamała się linia skalistych szczytów, oświetlonych, zgubionym z nimi, księżycem.

Nie uciekł. A raczej uciekł.

— No, cóż — i stąd można wrócić.

— Słucham pana? — odezwał się numerowy.

— Nic, nic — nieście na dworzec.

Mała stacja wyrastała wprost z lasu. Tor kolejowy za dworcem skręcał nagle w prawo. Przy zakręcie stało kilka dorożek góralskich, dalej — na tle nieba — rozrzucił swe ramiona wielki krzyż. Wzrok Adama spoczął na nim, a raczej na jego długim cieniu, padającym na tor kolejowy. Pogięty dwoma załamaniem ułożył się krzyż na szynach, łagodząc ich chłodny połysk.

— Cienia pociąg nie rozjedzie — cały — zauważył numerowy.

Adam skierował się w stronę krzyża. Spojrzął ku niemu prosty, ludowy Chrystus.

— Dorożka — do sanatorium!

Przed Adamem wznosiły się góry, za nim na szynach toru — na przekątnej jego drogi — leżał wielki cień.

Wiedział, że jechał do życia.

Prowadzono Adama korytarzem białego domu. Naprzeciwko szła kobieta w płaszczu obsługi szpitalnej, z czerwonym krzyżem na czepku. Usta lekko ukarminowane, twarz nieokreślonego wieku.

Nieznajoma z pociągu.

I. Kryłów

Zaczęła się sikorka chwalić,
że morze chce podpalić,
i poruszyła cały świat, —

bezsilny strach na ryby padł.
Lecą w ogromnych stadach ptaki,
z pól, kniej i borów wielką rzeszą
zwierzęta i zwierzaki
śpieszą

na dziw popatrzeć taki,
i kłocą się na brzegu morza,
czy bardzo wielki będzie pożar.

A mówią, że na owe słuchy
i ludzie sami
przybiegli wnet na brzeg z łyżkami,
by pokoszować tak wspaniałej uchy.

Każdy podziwia w głos sikorę,
każdy się przez drugiego tłoczy
na morze wybałuszyć oczy,
bo wnet zakipi, wnet zagore.

Lecz morze jakoś się nie pali...
Może choć wre? — i nie wre wcale.
I tak się zakończyły górne plany:
sikorka wstydem się okryła,
bo wiele narobiła famy,
a morza nie spaliła.

Przełożył J. Wiszniewski.

Jedyna chrześcijańska hurtownia towarów kolonialno - spożywczych — własny import i pakownia herbaty. Cenniki na żądanie. Odbiorcom z prowincji specjalny rabat.

**W sklepach żądajcie towarów nabywanych
w „Hurtowni Kupców i Przemysłowców
Chrześcijan sp. z o. o.**

Wilno, ul. Ostrobramska 25, telef. 10-17".

Najtańsze źródło zakupów.

Najlepsza jakość towarów.

RYSZARD RYMSZA.

Talmud i syjonizm

H. de Vries de Heekelingen „Izrael, jego przeszłość i przyszłość”; przekład autoryz. I. M. Czerniewskiej, z przedmową prof. L. Czerniewskiego, nakładem Księgarni św. Wojciecha; okładkę projektował W. Świerzyński. Str. XX + 249.

Pojawiła się niedawno na półkach księgarskich praca p. de Vries de Heekelingen'a p. t. „Izrael, jego przeszłość i przyszłość”, anonsowana od dłuższego czasu w biuletynach wydawniczych Księgarni św. Wojciecha, jako rewelacja w dziedzinie żydoznawstwa — oczywista jest w tym trochę przesady i trochę więcej reklamy — chociaż dziełko flamandzkiego autora bezwątpienia należy zaliczyć do studiów b. wnikliwych i oryginalnych metodologicznie. Książkę tę winien przeczytać każdy, bo „żaden człowiek — pisze Wickham Stead — pisarz czy dyplomata nie może się uważać za dojrzałego, dopóki nie zapozna się dokładnie z kwestią żydowską.

Znajomości tej można i trzeba wymagać przede wszystkim od nas — bo Polska ze swoim rekordowym, wynaturzonym odsetkiem żydostwa (9,8%) zainteresowana jest bezpośrednio w zredukowaniu do minimum tej horrendalnej cyfry.

Heekelingen zdaje sobie doskonale sprawę z wagi i ogromu trudności, związanych z rozwikłaniem zagmatwanego spłotu żydowskiego. „Nie można — pisze — wymagać, aby jedno pokolenie rozwiązało zupełnie problem, którego sześćdziesiąt pokoleń nie było w stanie posunąć ani na krok.”

Czyż jednak ta pesymistyczna ocena przeszłości — stwierdzenie faktu, że dotychczas walka z żydostwem kończyła się niemal z reguły fiaskiem, że przekształcała się z wolna w jakieś tragiczne syzyfowe zmagania, nie nie prowadzące do żadnych pozytywnych rezultatów — determinuje autora do postawienia równie pesymistycznej prognozy.

Wcale nie — „bo czyż nie byłby to już cenny wynik — stwierdza pisarz — gdyby nasze pokolenie uczyniło ten krok pierwszy we właściwym kierunku”.

Cała więc trudność zagadnienia żydowskiego sprowadza się w praktyce do znalezienia właściwej drogi, któraby prowadziła konsekwentnie do realizacji celu.

Zgrubsza naszkicowane kontury dziejów w Europie Zachodniej są zrębem, na którym autor buduje swą własną historiozoficzną zabarwioną koncepcję ewolucji antysemityzmu, opartą na zróżniczkowaniu jej na pięć etapów; przyczym moment nasilenia fali antyżydowskiej stanowi kryterium, odróżniające poszczególne fazy całości.

Ten cykliczny szablon, daje się z powodzeniem zastosować do każdego państwa, które zetknęło się z Żydami.

Pierwsze spotaniczne, nieorganizowane przejawy niechęci ludności tubylczej do przybyszów spostrzegamy w trzecim etapie — rozkwitu żydostwa; te mniej lub więcej uchwytne animozje przeradzają się następnie w jawną wrogość (piąty okres), gdy „rozjątrzona ludność albo łamie wszelkie zapory i wycina w pień Żydów, albo wypędza ich rządem... i cykl „żydowski” rozpoczyna się w innym kraju”.

By zorientować się nieco w motywach postępowania ludności chrześcijańskiej, by znaleźć klucz do zrozumienia tej eksterminacyjnej polityki, jaką stosowano do Żydów, trzeba wczuć się w specyficzną atmosferę Talmudu, który, jak podkreśla „Allgemeine Zeitung des Judentums” (1908 r., Nr. 45), „charakteryzuje psychologię żydowską równie trafnie, jak subtelnie”.

Oto parę wyjątków z Szulchan-aruchu^{*)}, posiadających powagę Talmudu:

„Żydzi nazywają się ludźmi, narody świata nie nazywają się ludźmi, lecz bydłami.”

„Chociaż ludy świata podobne są zewnętrznie do żydów, ale to tylko tak, jak mały pył podobny do ludzi.”

albo:

„Własność nie-żyda jest równoważna rzeczy opuszczonej...”

Ta dwulicowa egocentryczna etyka wyrosła na podłożu wybitnie utylitarnem, na tle wynaturzonej megalomanii realizowana w życiu, musiała natknąć się na opór, spotkać się z naturalną, obronną reakcją, b. często brutalną i krwawą — bo był to nieraz rozpaczliwy już bunt ludności aryjskiej przeciw uciskowi żydostwa

^{*)} t. zn. „Stół gotowy” (hebr.) — wybór przepisów rytualnych, przystosowanych do potrzeb codziennych, skodyfikowany przez Józefa Caro (XVI w.).

A więc wykretna i cyniczna moralność talmudyczna, moralność wylęła w dusznych i zgniłych oparach ghetta stwarzała pierwszą przepaść nie do przebycia pomiędzy światem chrześcijańskim a żydowskim; drugi element, odseparowujący oba środowiska od siebie

możemy znaleźć w typowej cesze mentalności Marksów, Lassallów, Liebknechtów, Trockich itd. — rewolucyjności i wywrotowości, z którymi nierozdzielnie łączy się u żydostwa dążenie do zrealizowania mitu panowania nad całym światem — ale trzeba przed tym jesz-

Bracia Jabłkowscy magazyn zadowolonych klientów

Suponuje...

Leopardi — myśliciel i poeta włoski ubiegłego stulecia zacieśniał i w dalszym ciągu niepokoi krytyków różnych narodów.

W ostatnim numerze „Przeglądu Współczesnego” Mieczysław Brahmer w artykule: „Leopardi a chwila współczesna”, zastanawia się nad zagadnieniem paradoksalnych wpływów Leopardiego na jego wyznawców i następców. Już De Sanctis zwrócił na to uwagę:

„Leopardi wywołuje wrażenie przeciwne temu, jakie zamierzył. Nie wierzy w postęp a każe, go pragnąć; nie wierzy w wolność, a każe ją kochać. Nazywa złudzeniami miłość, sławę, cnotę, a rozpala w piersiach nieugaszone ich pragnienie...”

Jest sceptykiem a czyni cię człowiekiem wierzącym... ma jak najgorsze pojęcie o ludzkości, a dusza jego wyniosła godna i czysta, uszlachetnia ją i przynosi jej zaszczyt.”

Mamy więc do zanotowania dziwne, conajmniej, zjawisko. Najbardziej nawet gorzki pesymizm Leopardiego staje się źródłem energii życiowej, nie rozpręga, nie dezorganizuje ale wzywa do działania i czynnego umiłowania ideałów.

„Pesymizm dociekającej myśli Leopardiego — pisze Brahmer — i optymistyczny poryw jego serca zawarte są w każdym uśmiechu i każdej łzie poety, stanowią jedną nierozrwalną i szczególną, najsilniejszy może urok jego poezji...”

Leopardi w całej swej twórczości przesycony jest kultem starożytności, do której dziś ze zdwojoną siłą Włochy nawiązują.

I to też tłumaczy dzisiejszą aktualność Leopardiego.

Faszyzm włoski, przepojony entuzjazmem dynamiki życia, nie może odrzucić Leopardiego, którego poezja („trzeba mi miłości, ognia, entuzjazmu, życia...”) jest tęsknotą za heroizmem.

Zarazem przekonany był Leopardi, że prawdziwie twórczy entuzjazm i bohaterstwo wykwiatają najpełniej w orbie i w służbie narodu.”

Pesymizm Leopardiego pozbawiony jest piętna neurasteniczności, — nie jest produktem rozkładającej się psychiki człowieka, wywołanej nie-
wiara we wszystko i kosmicznym przerażeniem.

Pesymizm Leopardiego jest więc raczej wynikiem stwierdzenia zasadniczych kolizji między tęsknotami poety a zastaną rzeczywistością.

Cała jego twórczość jest parafrazą krzyku Boga na krzyżu:

Boże, mój, Boże, czemuś mnie opuścił...
Włochy młode oddają zasłużoną cześć antyhellicznej duszy autora „Operette morali”.

Ciekawe i godne zastanowienia są uwagi Leona Chwistka (skutecznego niszczyciela wielu przesądów i dostojnych głupstw) w artykule „Przeżycia Artystyczne” (Przegląd Współczesny). Chwistek pisze:

„Pokolenie pięknoduchów, wychowane na potwornych hasłach nietzscheizmu, pracowało nad upadkiem sztuki w sposób nieświadomy.

Wmawiając w społeczeństwo, że wyżyny życia duchowego są przywilejem wybranych, a ogół skazany jest na bezmyślne potakiwanie głowami, produkowało garstkę snobów, zameczało się na śmierć, siedząc na brzeжку krzesła w towarzystwie sławnych ludzi i wygłupiając się w sposób beznadziejny, a resztę społeczeństwa rzucała na

pastwę trywialnego naturalizmu, który wreszcie doprowadził do zupełnego stłumienia artystycznego instynktu.” Wypadnie dodać, że pokolenie pięknoduchów, wychowane na Nietzschem, doznało nowego zastrzyku, narosły nowe warstwy „poszukiwaczy”, przeżartych marksizmem anarchizmem w duchu św. Augustyna, formalizmem według wzorów sowieckich) i t. p.

Wszyscy, którzy nie należą do ich grona — to common people.

Wybrani tylko mają prawo formować opinie.

Wszystko jednak wskazuje, (znaki na niebie i...) że wkrótce te „szczyty”, nie mające solidnych podmurówek — zawał się — grzebiąc w minach „elitę”.

Ukazało się nowe pismo, poświęcone sprawom kultury „Ateneum”, pod redakcją Stefana Eiger-Napierskiego.

Czasopismo zasługuje na podkreślenie ze względu na wysoki poziom, głębię i istotność poruszanych problemów.

Czytamy interesujący artykuł wstępny Leona Chwistka „O artystach i środowiskach”.

Przeżywamy przeczytane relacje. Stanowczo Chwistek obdarzony jest szczęśliwym darem intuicyjnego myślenia.

Zazdroścąc mu, wynotowujemy kilka ciekawych uwag: „nigdzie życie środowisk twórczych nie było tak krótkie, jak w Polsce. Niemal zawsze kończyło się na tym, że całą sprawę brała w końcu w ręce zagranica i ona dopiero doprowadzała ją do końca. Dość powiedzieć, że nie umieliśmy skorzystać z wielkich myśli Kopernika i przypomniałoby nam się o nim dopiero wtedy, kiedy Niemcy uznali go za swego. Środowisko niskich temperatur, stworzone przez Wróblewskiego i Olszewskiego, przeszło rychło w stan nieczynny. Ostatnie wyniki zostały uzyskane przez środowiska obce. To samo było z środowiskiem psychologicznym, założonym przez prof. Heinricha.

Wielki romantyczny teatr, stworzony przez naszych poetów, zostawiliśmy na boku, czekając chwili, aż stanie się przestarzały i nieaktualny. Do naszej muzyki ludowej zabraliśmy się w momencie, kiedy twórczość zagraniczna przelicytowała ją wielokrotnie. To samo zrobiliśmy z fermentem, który mógł rozwinąć się w renesans sztuki. Zbyt pilnie bacziliśmy, żeby przypadkiem nie tracić czasu na bezpłodne wysiłki. Zbyt rychło chcieliśmy zawsze zbierać owoce naszej pracy.

Myślę, że tę gorzką prawdę powinniśmy wreszcie uświadomić sobie i zabrać się do rewizji tego aparatu pojęciowego, który zgótował nam tak ciężkie kłeski...”

Idzie o to, że my jesteśmy osobiście wrażliwi i pochopni do depresji i że to właśnie sprawia, że nasze kłeski są szczególnie dotkliwe...”

Na każdym więc kroku wołają: o przemianę psychiki polskiej, o zdynamizowanie jej, o przyswojenie sobie „najciekawszych żądz poznania”, o hart.

Krzyk musi wywołać czyn!

Posklejał — W. Przechyła.

cze ten świat zrewolucjonizować, zburzyć, zniszczyć i dopiero na ruinach „wczoraj” budować swoje „dzisiaj”.

Pracować nad tym rozpoczęła Rewolucja francuska — wszak „Archives israélites” z 6 czerwca 1889 nazywają ją poprostu drugą paschą.

Tragedia narodu rosyjskiego — to również dzieło wszechświatowego żydostwa. „W kwietniu 1917 r. milioner żydowski Jakub Schiff miał cześć przyznać się publicznie, że dzięki jego poparciu finansowemu rewolucja rosyjska udała się...”

Dogorywająca już dzisiaj Liga Narodów, to nic innego, jak nie ziszczony się sen o wszechpotężnym, uniwersalnym mocarstwie żydowskim.

Nic więc dziwnego, że ta biegunowo różna od innych struktura duchowa narodu wybranego była twardą skałą, o którą rozbiły się wszelkie zakazy asymilacyjne; że próby chrztu czy wzniosły patos rewolucji francuskiej (emancypacja) nie dały tego, czego się od nich naiwnie spodziewano.

Teodor Herzl nazywa „słodkimi marzycielami” tych, którzy starają się rozwiązać problem żydowski, odwołując się do „dobroci ludzkiej”. Nazywa to wszystko — krótko: „żywym, sentymentalnym bujaniem”.

I ma zupełną słuszność, — bo asymilacja daje jakąś dziwną w wyniku mieszaninę pierwiastków judaistycznych z aryjskimi — deformuje osobowość człowieka, wytwarza indywiduum „o duszy dziwnie postrzępionej”, przedmiot pogardy zarówno ze strony jednych, jak drugich.

Zresztą asymilacja przestała być już dzisiaj tematem modnym — zdeaktualizowała się. Młodzież żydowska nie chce „kroczyć przez całe życie z ręką przed nosem” — i albo zbacza na lewo, zasilając ośrodki dyspozycyjne Kominternu — bo komunizm, — jak twierdzi de Vries de Heekelingen — „to nic innego, jak całkowity triumf wartości żydowskich nad wartościami chrześcijańskimi — albo też przysięga się do dźwigania fundamentów pod Judenstaat, w myśl hasła i dyrektyw samego T. Herzla.

W tym miejscu dochodzimy do sedna sprawy.

Stworzenie, a ściślej wskrzeszenie państwa żydowskiego, jest jedynym realnym a zarazem radykalnym rozwiązaniem jątrzącego się coraz bardziej problemu.

Biro-Bidżan, czy Madagaskar i inne eksperymenty tego rodzaju — to tylko półśrodki — gwarancją pełnej realizacji programu syjonistycznego jest Palestyna, — dziś już nie zwykły obiekt kolonizacyjny, ale coś więcej... łącznik pomiędzy historyczną państwową przeszłością a dniem dzisiejszym, — równoważnik likwidacji diaspory.

Poza tym syjonizm posiada dodatnie właściwości wychowawcze; jest lekarstwem na „anomalie charakteru żydowskiego, wytworzone przez ghetto i asymilację”.

Syjonizm zbliża Żydów do ludów cywilizowanych; wyrwa ich i wyzwala z ciasnej, ekskluzywnej kazuistyki talmudycznej; odkaża z przesądów i wewnętrznych sprzeczności psychikę, wypaczoną w diasporze — bo cały balast talmudyczny stanie się zbędny, gdy powstanie normalne, zdrowe państwo.

Jednak z chwilą realizacji swoich zamierzeń, muszą Żydzi wyrzec się kno-
wów rewolucyjnych i zaborczych — a z Palestyny nie robić jakiegos koncentrycznego punktu elity żydowskiej, gdy miliony pozostaną, jak dawniej, rozproszkowane po całym świecie — bo wówczas nie będzie ani rozwiązany problem żydowski, ani też ugaszony antysemityzm.

„Bez syjonistycznego rozwiązania, bez odnowienia królestwa Izraela Żyd pozostanie niebezpieczeństwem duchowym, kulturalnym i materialnym” — oto synteza rozważań Heekelingen'a.

Praca de Vries de Heekelingena jest ważnym faktograficznym dokumentem. Tak obfitego, ciekawego i różnorodnego materiału w postaci wypowiedzi żydów i nieżydów, ale dobrze się orientujących w sprawie żydowskiej — znaleźć gdzieindziej trudno.

Cała książka p. Heekelingena opiera się na kunsztownie i precyzyjnie zestawionych cytatach — dlatego też (bez ujmy dla autora) nazwałbym ją jedną wielką cytata.

Do minusów tego dzieła należy bezsprzecznie zaliczyć brak najmniejszej choćby wzmianki o stosunkach żydowskich w Polsce.

Coprawda, tłumaczenie polskie uzupełnia te luki przez umieszczenie w przedmowie streszczenie dziejów żydostwa w Polsce. (opracowane przez prof. L. Czerniewskiego).

Przekład p. I. M. Czerniewskiej dobry.

FUTRA WŁODZIMIERZ PIKIEL

WILNO, WIELKA 7. TEL. 11-55

SUKNA WEŁNY JEDWABIE

NOWOŚCI NA SEZON — CENY ZNIŻONE.

Na kostiumy i Płaszcz DAMSKIE i MĘSKIE

Świat za szybą...

(sugestie — ozdoby nasze)

PRZEZ DUŻĄ SZYBĘ.

IDEA CZY KARIERA.

W dwóch ostatnich numerach „Myśli Polskiej” znajdujemy bardzo ciekawą polemikę między p. A. Łaszowskim i p. Marianem Niżyńskim na temat karierowiczostwa. O ile pierwszy broni karierowiczów, jako ludzi, bądź co bądź, niepospolitych: aktywnych i energicznych, drugi odznacza się od nich oboma rękami.

Postuchajmy, co mówi Marian Niżyński.

„Próbowałem kiedyś posegregować moich przyjaciół, aby wiedzieć kim sam jestem i co mi z ich strony czeka. Doszedłem w rozważaniach do następujących wniosków: Etyka człowieka rozpina się na dwóch punktach: 1) Na celu, jaki sobie człowiek zakłada i 2) na środkach, którymi dąży do jego osiągnięcia. Wartość kulturalną warunkowałem charakterem celu, wartość moralną charakterem środków.

I tak:

A) Cel idealistyczny: 1) Jeśli człowiek stawia sobie za cel służyć idei, a posługuje się środkami zgodnymi z etyką, obowiązującą w środowisku, w którym działa — jest to człowiek idei. 2) Ten sam człowiek wykraczający w użyciu środków poza postulaty etyczne — jest fanatykiem.

B) Cel materialistyczny: 1) Postawienie sobie za cel zdobycie maksimum wygód na materialnych dla siebie wskazuje na materializm, choćby środki zgodne były z wymogami etycznymi. 2) Materialista, dążący do osiągnięcia celu metodami nieetycznymi jest przestępcą.

Celów z sobą godzić nie podobna. Trzeba je wybierać i ponosić wszelkie konsekwencje wyboru. Dla każdego logicznie myślącego późniejsza zamiana celów oznacza załamanie lub „wytrzeźwienie z mrzonek”, jak to niektórzy nazywają, jeśli cel idealistyczny ustępuje miejsca materialistycznemu, lub obudzenie się w człowieku dążeń kulturalnych — jeśli jest na odwrót. Idea nadaje szlachectwo, które odróżnia człowieka od zwierzęcia — oszczędza natomiast wygód materialnych. Materializm życiowy nadaje przywilej wygody i zaszczytu, oszczędzając prawa do kierowania postępek ludzkiej myśli.

A dalej autor pyta:

„Co by przedstawiało społeczeństwo składające się z karierowiczów? Nieuchronną konsekwencją takiego stanu rzeczy jest mordercza walka o szczęble (owszem, to już istnieje), majoryzacja słabszych i wytwarzanie systemu niewolnictwa (owszem — to też istnieje), dewastacja ideałów (także) itd. Wszystko to istnieje. Tylko żaden kulturalny człowiek nie powinien tego stanu rzeczy bronić. Tylko, że każdy człowiek, który poza kawałkiem chleba i kiełbasy, widzi coś więcej w życiu, pogardza ludźmi stojącymi do takiej walki.”

OBÓZ NARODOWY SPĘDZA SEN
Z POWIEK PRZECIWNİKÓW.

Co pewien czas, w odstępach prawie regularnych, pojawiają się w prasie anty- czy pseudonarodowej złośliwe zapytania, skierowane do Obozu Narodowego, w rodzaju „dlaczego to nie jesteście jeszcze przy władzy?”.

względnie ponure prorocтва „nigdy nie dojdziecie do władzy”, albo wręcz wyraźne kpiny: „im się przecież nie spieszy!”.

Zwróćmy uwagę na jedną rzecz: że w dzisiejszej Polsce istnieje „mordercza walka o szczęble”, i „majoryzacja słabszych” i „wytwarzanie systemu niewolnictwa”, „dewastacja ideałów” i t. d. i t. d. że „wszystko to istnieje”. Że obecne polskie życie — to na „szczęblach” zwłaszcza — stoi pod znakiem karierowiczostwa.

Słowa takie słyszy się — na szczęście — coraz częściej i cytowaliśmy właśnie zdania z „Myśli Polskiej”, pisma stojącego stosunkowo blisko „szczębli”.

Czy więc, pytamy, w tych warunkach ostry i gwałtowny pęd do władzy — na który być może stać Obóz Narodowy — nie byłby przez ogół poczytywany za hołdowanie karierowiczostwu?

Obóz Narodowy wybrał drogę najtrudniejszą. Obóz Narodowy daje świadectwo prawdzie — swej uczciwości i ideowości. Obóz Narodowy przekonywa masy o kolosalnej wyższości idei nad karierą. I wielu, bardzo wielu, jest już przekonanych (vide „Myśl Polska”).

I to hasło Obozu Narodowego „Nam się nie spieszy”, może największym jest argumentem za czystością Jego intencji.

Jakżeż śmiesznie wyglądają ci wszyscy rzewni opiekunowie i prorokowie. Jakież naiwnym jest „Kurier Wileński”, gdy pisze: „Jeden endek w rozmowie wprost oświadczył: „A no, panowie z obozu pomajowego, dość już długo byliście przy żłobie, teraz na nas kolej. My wam nie przeszkadzaliśmy, wy też nie przeszkadzajcie nam. Nie mamy ochoty z wami się dzielić.”

Czyż p. Piotr Lemiesz nie widzi — o ile oczywiście będziemy uważali tego endeka za rzeczywistego nie fikcyjnego — że są tylko dwie alternatywy: albo ktoś w oczy zadzwilił sobie z niego, albo (wszędzie się znajduje parszywa owca), czuł się upoważnionym przez niego do tak cynicznego odezwania się.

Jakżeż smutno czytać taki argument, zważywszy na to, że pisze to naczelny redaktor, w artykule następny, w piśmie wydawanym codziennie... za pieniądze podatkowe.

PRZEZ BARWNĄ SZYBĘ.

WIELBICIELCE JAPONII.

Pani Ludwika Ciechanowiecka z Nr. 2 „Kroniki Polski i Świata” zamieściła wywiad z dwoma Japończykami. Jeden z nich jest dyplomatą, drugi handlowcem. Mili Japończycy „pokijykowali” trochę Polskę w obecności p. Ludwiki. A więc niepodoba im się młodzież, bo u niej „niesłychany brak entuzjazmu i radości życia. Jedni się kłócą, inni są przygnębieni”.

Bardzo droga jest kolej, wszyscy z gości zdzierają skórę.

Polska rodzina zgoda do niczego, kobiety samolubne i mniej obowiązkowe, ale to nie ich wina, tylko mężczyźni, którzy namiętnie wprost zdradzają swe żony.

„Dużo Polaków, — powiada Japończyk — zdejmuję kapelusz przed świątynią...” To piękne, to imponuje... Ale ja nie wiem co jest w ich sercu. Czy polska religijność nie jest... solidna... reliable...

„Ach ten pytający — dodaje p. Ludwika — troszkę ironiczny wzrok i uśmiech irydująco uprzejmy...”

Oczywiście, w Japonii wszystko wręcz przeciwnie.

Pani Ludwika na to — nic. Połknęła. Żadnej nadziei na przyszłość. Żadnego „ale”. Nawet nie powiedziała, że sama jest przecież lepsza i że postara się Polskę zreformować.

Pani Ludwika tylko wysłuchiwała — napisała — zarobiła.

Czy popełni harakiri po tym wszystkim, jak przystało na szczerą wielbicielek Japonii, nie wiadomo.

UTOPIŚCI.

Publicyści „Myśli Polskiej” znani są jako wprost niezwykli utopiści. Wystarczy zainteresować się tylko ich podejściem do kwestii ukraińskiej.

Do jakiego niepokojącego stopnia dochodzi ich utopijność da nam wyobrażenie jedno zdanie, z ciekawego skąd inąd. art. p. M. Niżyńskiego.

Otóż p. Niżyński twierdzi, że termin karierowicz

„określa linię sukcesów uzyskiwanych drogą kręactwa, wyzyskiwania słabości, li-zusostwa, zmiany poglądów w imię zasady „ubi patria ibi bene”, protekcji itd.”

Jeżeli, w/g p. Niżyńskiego, karierowicz zmienia poglądy w imię tak naprawdę pięknej zasady „ubi patria ibi bene” (gdzie ojczyzna, tam dobrze), to jakżeż wniosłbym zasadom musi hołdować sam autor, który, zdawałoby się z jego artykułu, jest idealistą.

Może by tak Pan w następnym numerze „M. P.” zaspokoili naszą ciekawość.

WSZYSTKO PIĘKNE, CO Z ZAGRANICY.

„Merkuryusz” nie jest pismem wyrozumiałym i tępi bezlitośnie każdą słabość u innych. Sam jednak też ma pewną słabość. Nieszkodliwą zresztą. Jest nią wyrażenie „excusez le mot”, które przewijają się w każdym numerze po kilka razy (Dalióg nie wielka przesada!).

Chciałoby się powiedzieć, że to wyrażenie przyczepiło się do „Merkuryusza”, jak

rzep psiego ogona (excusez le mot).

Nie widzimy żadnego powodu, by tak być powinno, bo przecież „Merkuryusz” jest pismem „ordynaryjnym” a wcale nie ordynarnym.

NIE MA ROZŁAMU W „OZONIE”.

„Mówią, że pogłoski o rozłamie w „Ozonie” są nieprawdziwe, a to dlatego, że ozon jako gaz nie rozłamuje się, lecz się „rozkłada.” („Na marginesie” „Dziennik Wileński” 27. I. 38 r.)

Haruspex.

Pożyteczna inauguracja

W dn. 15. I. r. b. w gmachu Biblioteki im. Wróblewskich odbyła się inauguracja prac Sekcji Historii Najnowszej Wyd. Hist. T.P.N. w Wilnie. Na posiedzenie to zjawili się m. in. także i zasłużeni w walkach Samoobrony na terenie ziem b. W. Ks. Litewskiego ppłk. Jerzy Dąbrowski i ppłk. s. s. Stanisław Bobiatyński.

Zebranie zagał prof. dr. Ryszard Mienicki, który określił przede wszystkim cele, jakim mają służyć prace Sekcji oraz ramy chronologiczne opracowywanych tematów. Prof. Mienicki, zaznaczając, iż zadaniem Sekcji jest naukowe przedstawienie walk wyzwoleniczych na ziemiach b. W. Ks. Litewskiego w czasach wojny światowej i polsko-bolszewickiej rozprawił się równocześnie z ewentualnym zarzutem przerosu pierwiastka subiektywnego w przedstawieniu dziejów, których uczestnicy jeszcze chodzą po świecie. W zakończeniu przedstawił program prac na najbliższy okres.

W przeszło godzinnym referacie n. t. „Samoobrona grodzieńska” dr. Walerian Charkiewicz zobrazował działania, jakie zostały podjęte tak przez P.O.W., jak i zdemobilizowanych członków I Korpusu w Grodzieńszczyźnie po akcie z 11.XI. 1918. Trudno tu streszczać wywody prelegenta, który ze względu na czas musiał niejedną mniej ważną szczegół opuścić, skrócić poszczególne partie i t. p., ale można uważać, że kwestia samoobrony grodzieńskiej została przedstawiona w sposób niebudzący sprzeciwów co do strony metodycznej. Wygłoszony z werwą i przekonaniem ciekawy referat dr. Charkiewicza, godnie zapoczątkował prace Sekcji Historii Najnowszej. J. G.

NOTATKA PAT'A BOLİ CAT'A.

Jak zabolęła pana Cat'a

notatka mała Pat'a,

że przy Rzewuskim stoi hrabia,

co za opinię się wyrabia

takiemu tytułowi,

gdy hrabia siadł w Berezie.

A z tego morał lezie:

hr. czy książę — nie ważny protoplasta

niech siedzi, jeśli p — — — — — a.

Nie—hrabia.

KUPUJIE TYLKO CHRZEŚCIJAŃSKIEJ PRODUKCJI RADIO - ODBIORNIKI

Popierajcie

wileńskich wytwórców

VERTEX—DOMINANT (1938 r.)

KRÓLUJE WŚRÓD ODBIORNIKÓW

TYLKO U

J. SAŁASIŃSKIEGO Wilno, Wileńska 25.

SKŁAD PAPIERU i MATERIAŁÓW PIŚMIENNYCH
Specjalne działy:
MALARSKO - KRESLARSKIE, RAM, OBRAZÓW i ZABAWEK.
PAPIERY TECHNICZNE — WIECZNE PIÓRA.

WŁADYSŁAW BORKOWSKI

WILNO, Ad. Mickiewicza 5. Telefon 372.

Pp. Inżynierom, Mierniczym i Technikom, na roboty sezonowe polecam: Kalki, Szkicówki, Papiery światłoczułe.

„OROS”

WILNO, SW. JANSKA 5

CHRZEŚCIJAŃSKI SKLEP KONCJI DZIECIĘCEJ

Poleca duży wybór kapeluszy, ubranek, sukienek, pończoszek, skarpetek, wyprawek dla niemowląt i t. d.

CHRZEŚCIJAŃSKA DROGERJA

„LUDWIK”

WILNO, ZAMKOWA 12.

Poleca w dużym wyborze towary: apteczne, kosmetyczne, perfumeryjne, galanterijne, gospodarcze oraz walizy podróżne.

Ceny konkurencyjne.

Uprzejmie prosimy przekonać się.

Marne święta bez Krupnika!

KRUPNIK BEZ GOTOWANIA

i FILTROWANIA

sporządzisz przy pomocy zaprawy ziołowo - korzennej. Flakon 1 zł. wystarcza na 1—3 l. wódki.

POLECA SKŁAD APTECZNY

Władysława Trubilly

LUDWISARSKA (róg Tatarskiej).

Tamże wódy kolońskie na wagę.

78 przecudnych zapachów

Najtańsze źródło zakupu galanterji męskiej i damskiej u

W. Jankowskiego Wilno, Wielka 15.

Uwaga: P. P. Akademikom specjalny rabat.

SPÓŁDZIELNIA MEBLOWA

Rzemieślników Chrześcijan

z ogr. odp.

Wilno, ul. Wileńska 28.

Poleca: meble z własnych warsztatów, pierwszorzędnej jakości.

Sklep Bławatny „TKANINY TANIE”

S. CISZEWSKIEGO, Wileńska 31

— to źródło zaopatrzenia się w tkaniny piękne, praktyczne i tanie.

Ceny ogłoszeń: Za 45 milimetrów 1-no szpaltowych na ostatniej stronie 7 zł. W tekście o 50% drożej. Prenumerata roczna 4 zł., półroczna 2 zł., kwartalna 1 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Jagiellońska 6 m. 19.

Redakcja i Administracja czynne we wtorki i piątki, od godz. 18 do 20.

Wydawca: Henryk Polakowski.

Drukarnia Aleksandra Zwierzyńskiego. Wilno, Mostowa 1.

Redaktor odp.: Władysław Mackiewicz.